№ 20.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
Rej z Nagłowic.

ROK 1840. Poznań, dnia 20. Maja.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na rok talarów 8, na pół roku talarów 4, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Taka była wola Boża.

(Powiastka.)

(Dokończenie.)

Po skończoném nabożeństwie, panie mające być w klasztorze na obiedzie szły przez kurytarz do forty, a mężczyzni przez dziedziniec. We forcie było suto zastawione śniadanie: dla mężczyzn wędliny i wyborne likiery, dla kobiet z drugiéj strony kraty, owoce osmażane w miodzie, pierniczki, maliniak, ciasta i t. p. łakocie.

Ksieni w dużém krześle zasiadła przy oknie otwartém na środku kraty. Na oknie położyła złotą tabakierkę i chustkę, żeby mieć zupełnie wolne ręce, które każda osoba przybywająca całowała. Kobiety zaś pobożniejsze starały się całować pierścień na prawém ręku; był on oznaką godności ksieni, równie jak wieńczące jéj głowę białe gwiazdki, wyszywane na czarnéj podbitce welum.

Pan Dąbczewski z Józefem zatrzymali się przed kościołem, żeby dać jałmużnę dziadom i babom, śpiewającym na całe gardło niebardzo harmonijnemi głosy pobożne pieśni; a schowawszy zielone sakiewki do kieszeni, szli do forty.

»Czy też wasana ciotka zaraz pozna?« mówił pan Dąbczewski chwytając klamkę od forty; i wziąwszy czapkę w rękę zamaszysto szedł przez izbę, a za nim Józef. »Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus« rzekł pierwszy, i przybliżywszy się do ksieni, serdecznie ją w rękę pocałował; a potém wskazawszy na Józefa stojącego przy sobie, mówił: »A zna jéjmość dobrodziéjka tego kawalera?« — Ksieni spojrzała na młodzieńca i zawołała: »Święty Ignacy! to Józefek!« — Młodzieniec całował ją czule w rękę, a ona go w głowę — żadnych słów niebyło słychać; tylko kiedy przytomni spojrzeli na nich, na młodzieńca twarzy było widać rozczulenie, a ksieni lica łzami były zroszone. Młodym kobietom zabłysły łzy w oczach, starsze wzdychały, mężczyzni się uciszyli. — Po zapytaniach ksieni: co musiał świata widzieć, ile razy go Bóg i Matka Najświętsza od śmierci zachowali, co biedy wyżył i t. p., kazała mu pójść na śniadanie i zachęcać drugich.

Wszystko zabrało się do jedzenia; mężczyzni z talerzami zbliżali się do krat. Kobiety młodsze bardziéj obrachowane, sadowiły się tuż przy kratach, starsze zaś i zakonnice stawały przy nich bez ogródki, jeżeli z którym z mężczyzn chciały rozmawiać. Józef opowiadał chciwie go słuchającym mężczyznom, o bitwach w których był, o krajach które widział, bo wtenczas dla Polaków tułactwo pomiędzy obcymi było jeszcze rzeczą nową. Raz poraz tylko zbliżał się do krat, żeby powitać znajomą mu zakonnicę.

Drzwiami z kurytarza do forty wsunęła się jeszcze jedna zakonnica. Za jéj przyjściem młode kobiety podniosły się z miejsc i biegły na wyścigi ją witać. Na te oznaki przyjaźni blade jéj lica pokryły się lekkim rumieńcem, a słodki uśmiech twarz melancholiczną jeszcze milszą uczynił. Po powitaniu spojrzawszy za kraty, nagle wlepiła oczy w jedno miejsce, zachwiała się na nogach — i upadła jak biała lilia ścięta bacikiem małego chłopczyny. Krzyk powstał między kobietami: »zemdlała! — serdecznéj wódki! — nieść ją do celi!« — Mężczyzni przerwali śniadanie i rozmowę, a zwrócili całą uwagę za kraty. Zemdlałą zaniesiono do jéj celi.

Połowa kobiet poszła ją ratować. Pozostałym opowiadała ksieni, że zapewne przyczyną zemdlenia siostry Anny są posty, które sobie zadaje, bo w wilią każdéj uroczystości nic w usta niebierze, i na modlitwie noc całą przepędza; że chociaż taka młoda, starszym należałoby się budować z jéj pobożności i pokory.

Kiedy się już wszystko u forty uspokoiło, kobiety zaczęły wracać, mężczyzni rozmawiać o gospodarstwie, o polowaniu, o konsulu Bonapartem i t. d. — Nakoniec zabierało się wszystko na obiad. Mężczyzni do księdza spowiednika, kobiety do cel ksieni. Wtedy się ksieni zapytała: »A gdzie Józefek? — pewnie poszedł oglądać, czy wszystko w Owińskach po dawnemu.« — Po chwili dodała: »Ale przecie na pożegnanie przyjdzie z jegomością do forty, mości podstoli?«

Mężczyzni z kobietami na dobre się już żegnali, gdyż po obiedzie forta była zamknięta.

Kobiety zasiadły w bawialnéj celi ksieni, zastawionéj sprzętami, jakich przed wielu laty używano w zamożniejszych szlacheckich dworach. Krzesła dębowe wybijane trypą, komody i szafy wysadzane włoskim orzechem; wszystko zresztą prócz zwierciadła, którego na całéj górnéj części klasztoru niebyło. Bawiły się tam kobiety rozmową, aż w dzwonek kuchenny uderzono, bo wtedy zaprosiła ksieni goszczące do jadalnéj celi. Niczém się ten obiad nieróżnił od zwyczajnych światowych, tylko że zamiast hajduków usługiwały dziewczęta, co na processyi tak silnie dzwoniły.

Na głos tegoż dzwonka na dole w refektarzu schodzą się zakonnice do stołu. Każda stanęła przy swojém miejscu, złożyła ręce, spuściła oczy, a jedna, na którą przeorzysza *) wskazała, odmawiała głośno modlitwę o błogosławienie darów, które pożywać miały. Po odmówionéj modlitwie weszła na ambonę w rogu refektarza będącą, otworzyła dużą księgę i odczytywała głośno Żywota Świętych.

Zakonnice zasiadły do stołu ustawionego w klamrę; i starsze już zaczęły jeść, kiedy młodsze patrzały jeszcze w otwór ściany, którym na deszczułce po kilka talerzy cynowych z jadłem z kuchni wsuwano, a konwiszki stawiały na stół. Obiad był odpustowy: cztery mięsne potrawy, jarzyna i ciasta, a porcye tak duże, że zakonnica ledwie trzecią część zjadała, resztę wstawiała do szafki w stole, którą każda miała oddzielną i na klucz zamykaną. Oprócz głosu czytającéj nikt milczenia przez cały obiad nieprzerwał; było tylko słychać trzaskanie cynowych łyżek, i skrzypienie noży po talerzach.

Na samym końcu stołu zostało miejsce nakryte. I chociaż go nikt niezajął, konwiszki jednak punktualnie przed niém porcye stawiały.

Po skończonym obiedzie, kiedy modlitwę za spożyte dary odmówiono, czytająca zeszła z ambony, przyszła szafarka i konwiszki, i zasiadły do obiadu. Po skończonym obiedzie zadzwoniono i obrusy ze stołów zdjęto. Wtedy wpadła szarańcza młodych dziewcząt, każda z kluczykiem od szafki swojéj pani; z pozostałych porcyi zjadały tyle co chciały, resztę, któréj podołać niemogły, zabierały z sobą, a zakonnice rozdawały codziennie ubogim.

Po obiedzie goszczące kobiety chodziły w odwiedziny do przyjaciółek i krewnych zakonnic. — Tam częstowano kawą, pierniczkami i innemi przysmaczkami.

W całym klasztorze było dużo hałasu, tylko w celi siostry Anny cichość, drzwi nawet u niéj były zamknięte, bo potrzebowała spoczynku.

Cela siostry Anny była ubogą w sprzęty, jak wszystkich innych sióstr zakonnych. Łóżko proste dębowe, usłane w kształcie trumny i okryte prześcieradłem z niebielonego płótna; nad łóżkiem klepsydra i kilka obrazków. Trzy stołki, szafka, kuferek, wszystko zielono malowane. Stolik, na nim krucyfix, trupia główka wyrobiona z kości, a pod nią dwie kostki na krzyż; drugi mały stoliczek od roboty. Na policzce kilka polskich i łacińskich książek od nabożeństwa, kanarek w drucianéj klatce między doniczkami kwiatów, we drzwiach cynowa kropielniczka.

Siostra Anna klęczała przed krucyfixem; zmęczona — lica rumiane gorączką — dłonie złożone mocno przycisnęła do piersi, bo chciała wszystko co ziemskie w nich przytłumić, a napełnić tylko miłością nieba. — I modliła się długo — gorąco — ale bez łez! ona, co się nigdy szczerze bez płaczu modlić niemogła. Bo do jéj myśli przypląłał się teraz obraz nie zmarłego kochanka, którego uważała jako drugiego anioła stróża, ale obraz kochanka żyjącego. Odpychała chwilowo ten obraz, ale niedługo znów go w sercu znalazła — i walczyła tak długo ze sobą! Lecz prawdziwa wola pokona wszystko; i siostra Anna choć całkiém téj miłości z serca usunąć niezdołała, popchnęła ją jednak w najskrytsze jego tajniki. Podobną ona była do ranionego, któremu kula głęboko w ciele uwięźnie i rana się zabliźni; on zdrów dla oka drugich, niekiedy i dla siebie, ale cierpienia wracają, najczęściéj i śmierć przynoszą.

*) Pierwsza godność po ksieni. — Ksieni odpowiada godności opata, a przeorzysza przeora.

Po nieszporach wszystko z klasztoru wyjeżdżało. — U forty zadzwoniono, a fortyanka przez otwór przy drzwiach poznała pana Dąbczewskiego, otworzyła, i poszła ksienię przywołać.

»A gdzie Józefek?« zapytała ksieni spojrzawszy za kraty. — »Poszedł do domu pieszo« odrzekł pan Dąbczewski — »on żołnierz nielubi długo u stołu siedzieć, zjadł śniadanie, miał dosyć; milę iść pieszo to dla niego żarty, a z jejmość dobrodziejką i tak się dziś ucieszyć niemógł.« — Potém winszował jéj tak godnego siostrzana, a ona go o opiekę dla niego prosiła. I tak się pożegnali. Za odchodzącym jeszcze ksieni wołała: »a niech mię też Józefek niedługo odwiedzi!«

III.

W kilka dni po odpuście w Owińskach, traktem ku rzece jechał młodzieniec blady i zamyślony. Prosto siedział na koniu, tylko głowę ku szyi konia miał pochyloną. Koń szedł stępą, a jeździec wcale go nienaglił.

Kiedy wjechał na górę, a przed sobą na dole ujrzał Owińska, zatrzymał konia i spojrzał! ale nie na sady, które okrywała melancholiczna szata jesieni, nie na chatki białe, przed któremi igrały dzieci z różanemi liczkami, bosemi nóżętami; — ale wzrok utkwił w stronę szarych murów klasztoru. Naraz jakby przebudzony wciągnął silniéj dech w siebie, i kilka łez spłynęło po jego licach. Obejrzał się na wszystkie strony, czy kto na niego niepatrzy, i szybko zjechał ku rzece, płynącéj spokojnie modrą wstęgą między brzegami to piasków, to łąk, na których czasem krzaki, czasem drzewa porastają.

Łódź była z drugiéj strony, przewoźnika wcale niebyło widać. Młodzieniec uwiązał konia między krzakami wierzb, a sam się zaczął przechadzać. I każdy krzak, każdy kamień witał jak dawnego znajomego, ale witał z boleścią w sercu, z rozpaczą w duszy.

W tém usłyszał dzwonek na Anioł pański wzywający — stanął! i takim wzrokiem spojrzał na mury klasztorne, jakby je chciał przeszybować. — I przejrzał je wzrokiem duszy. — Widział, jak na ten głos dzwonka wszystko w klasztorze ukléka i odmawia modlitwę, bo i on będąc dziecięciem modlił się w tych chwilach z zakonnicami — a teraz modli się tam jego kochanka. Wystawił ją sobie klęczącą, w zakonnéj sukni i bladą jak ją przed kilku dniami widział. Niescisnęła mu ta myśl serca, ale obudziła w nim uczucie prawdziwie religijne, którego już oddawna niedoznał. Jego cała myśl zlała się w jednę modlitwę, na którą niewystarczają zwyczajne wyrazy, bo ją sercem odmawiamy — w modlitwę miłości dla wszystkich. Czyje serce tak się modlić umie, chętnie się za swobody braci swoich poświęci! W takich modłach o nic nieprosimy dla siebie — ani nawet o niebo. Po takiém wzniesieniu się duszy ku niebu jesteśmy spokojniejszymi, bo wyższymi nad nas samych, aż póki nienasiąkniemy uczuciami ziemi. — I młodzieniec był spokojniejszy! wszystko widział koło siebie powleczone smutkiem, ale nie rozpaczą. Rzucił wzrokiem ku niebu, a ono było tak ślicznie błękitne, tak czyste, tak wabiło swoją jasnością ku sobie, i zdawało się zapewniać o szczęściu, które tam być musi, że w młodzieńca duszy obudziła się olbrzymia siła na przeciwności, które go w téj ziemskiéj wędrówce jeszcze spotkać miały. Postanowił zobaczyć raz ostatni kochankę — a potém żyć i umierać tylko dla drugich.

Łódź nadpłynęła; wprowadził w nią konia, stanął koło niego, splótł ręce na piersiach i patrzał na kraty okien klasztornych; — ale za niemi nic niedojrzał tylko szyby, które odstrzeliwały ku niemu złote promienie słońca. Na brzegu wyskoczył z łodzi, konia wyprowadził, a spieszył do klasztoru.

Wszedł przez dziedziniec do sieni, pochwycił za sznurek od dzwonka i zadzwonił. Po chwili odsunęła się deska i zobaczył przez otwór twarzyczkę dwunastoletniéj dziewczynki, i zapytał go się cienki głosik: »kto jest i czego żąda.« — »Jestem Skrzetuski, siostrzeniec panny ksieni i chcę się z nią widzieć« — odpowiedział przybyły. Deska się zasunęła — i wnet odsunęła. Wyszła fortyanka, uśmiechnęła się i otworzyła drzwi, usuwając się prędko za kraty małemi bocznemi drzwiczkami, które za sobą zamknęła na rygiel. Przez kraty dopiero powitała Józefa, a potém poszła przywołać ksieni.

Józef niespokojnie poglądał za kraty, niby z rozpaczą, niby z przelęknieniem! i jakby knował coś w duszy. Niemiał czasu długo planu układać, gdyż ksieni z kapelanką wnet się u forty pokazały.

Ksieni roztworzyła na środku kraty okno i podała mu rękę do pocałowania. Mówił, że przyszedł się z nią pożegnać, bo wraca do wojska — pierwéj jednak na Ruś jedzie. Potém wkręcił w rozmowę, że mu się przypomniało, iż pannę Annę, która zemdlała w odpust, widział na Rusi; prosił więc, żeby przyszła do forty, może będzie miała polecenie do krewnych. Kapelanka poszła ją przywołać, i niedługo pokazały się obiedwie.

Siostra Anna powolnym krokiem przybliżyła się do okna kraty; z anielskim uśmiechem i spokojnością spojrzała na Józefa, i pochyliła głowę na

powitanie. Józef zadrżał spojrzawszy na jéj wychudłą postać, na wybladłe lice — zapomniał o wszystkiém, widział ją tylko cierpiącą. — »Pan chcesz polecenia do moich krewnych« — rzekła siostra Anna — »brat zginął, matka umarła, niemam żadnych krewnych.«

»Ale ja żyję, a tyś mię zdradziła idąc do klasztoru!« krzyknął, przybliżywszy się do okna kraty. Anna stała nieruchoma, a ksieni z kapelanką zaczęły ją od okna odciągać. Wtedy Józef pochwycił ją i zawołał: »Nieweźmiecie mi jéj, ona moja, ona do mnie pierwéj należała, nim została zakonnicą!« Siostra Anna nieczuła tego pochwytu, bo była zemdloną, a Józef choć niestracił przytomności, niewiedział jednak, co robi. Uczuł tylko łzy i pocałowania na ręku, łzy i pocałowania staréj ciotki; i usłyszał słowa wymawiane ze łkaniem: »Czy chcesz mojéj śmierci?! czy chcesz hańby na całą twoją rodzinę i klasztor! czy chcesz przekleństwa na siebie i na Annę! Puść ją, puść, ona oblubienica Chrystusa! Matko Najświętsza upamiętaj go!« — Józef umykając ręce przed pocałunkami i łzami, opuścił Annę, a kapelanka spiesznie okno zatrzasła. Niepotrzebną już była ta jéj przezorność, bo przez Józefa myśl jak piorun przez zachmurzone niebo, przeleciało przypomnienie zapory, która go na zawsze rozdziela z kochanką.

Odszedł od kraty i z boleścią poglądał na nią. W białéj zakonnéj sukni, z bladém obliczem, z zamkniętemi oczyma, z ustami na pół otwartemi, leżała siostra Anna na czarnéj posadzce; tak leżącą było można wziąć za nagrobek mistrzowską ręką wyrobiony. Smutnie Józef spojrzał raz ostatni na nią — a potém coprędzéj wybiegł z forty, siadł na swego konia, i wyjechał z Owińsk, z tą myślą, że ona nieżyje — bo któż odgadnie dziwne serce ludzkie! — On wolał myśleć, że ona w grobie, niż że żyje nie dla niego. — Ze ściśnioném sercem opuszczał ukochaną okolicę, obrazy przeszłości jak mary przelatywały w jego myśli — wstrząsały jego duszą.

Siostra Anna od tego dnia była jeszcze pobożniejszą niż dawniéj, i zdawała się całkiém spokojną, tylko że niknęła widocznie na siłach.

Rok późniéj, na Podwyższenie Śgo Krzyża, był odpust jak zwykle w Owińskach; wszystko było jak przed rokiem; pan Dąbczewski znów był na odpuście. Przy śniadaniu prosiła go ksieni, żeby po nieszporach przyszedł do forty.

Po nieszporach zastał pan Dąbczewski u forty ksienię z kapelanką. Na oknie kraty leżał papier, pióro i stał kałamarz. Przybyły usiadł przy kracie.

»I tak siostra Anna umarła« rzekła ksieni, otworzyła tabakierkę, tabaki zażyła, ale łzy w oku jednak niewstrzymała. — »Powiedz tam wasze resztę panu Dąbczewskiemu« — rzekła do kapelanki.

Kapelanka opowiedziała naprzód zdarzenie, jakie zaszło między Józefem a siostrą Anną przed rokiem, a potém dyktowała panu Dąbczewskiemu, co ma pisać do Józefa, jako ostatnie polecenie umierającéj Anny, a na świecie Heleny nazwiskiem Wielowskiéj.

»Przed trzema laty nadesłano sepulturę brata Heleny poległego we Włoszech, i doniesiono, że p. Józef Skrzetuski nieżyje. Matka Heleny wkrótce ze zgryzoty umarła, a Helena, żeby się modlić za wszystkich, poszła do klasztoru, i to do Owińsk, bo o tym klasztorze wiele jéj Józef powiadał.«

Pan Dąbczewski jak to napisał, położył pióro i dumał, a po chwili rzekł z westchnieniem: »Biedne dzieci! to on wtedy z Mantui dostał się do Austryaków w niewolą, i nikt niewiedział, gdzie się podział« — a potém dodał: »Taka była wola Boża.«

B. F

Domy i zatrudnienia Polaków w XV. i XVI. wieku.

Wychowanie młodzieży.

(Ciąg dalszy.)

7. *Publiczne wychowanie chłopców.*

Na wysokim stopniu stało ówczesne publiczne wychowanie polskie, a że późniéj upadło bardzo nisko, przyczyną tego było rządu opiekowanie się szkołami niedołężne. Dozorowanie szkół należało do władzy duchownéj, świecka mały w tém udział miała. Gdy z powodu szerzącego się w kraju protestantyzmu, i wpływu jego na umysł młodzieży, obmierziło sobie duchowieństwo zakłady naukowe, a najwyższy rząd krajowy niemógł iść w pomoc upadającemu stanowi nauczycielskiemu, przeto szkoły musiały upaść.

Trojakiego rodzaju były zakłady naukowe, do których uczęszczała młodzież szlachecka i gminna: były szkoły wiejskie, miejskie i akademie. O wewnętrznem ich urządzeniu, czyli o planie wykładanych tu nauk, mało wiemy: wszelako sądząc po owocach które one wydały, a które widocznie się okazują we wzroście narodowego piśmiennictwa, wnieść można, że urządzenie to było wyborne. Więcéj powiedzieć da się o zewnętrznem szkół

urządzeniu, o obyczajch i zwyczajach szkolnych, tudzież o stosunkach wzajemnych zachodzących pomiędzy nauczycielami, uczniami, rządem krajowym i całą zgoła publicznością, duchowną i świecką.

a) Szkoła wiejska.

Mistrza szkoły wiejskiéj czyli klechę, zwano także z włoska Dominusem. Ze sprzętów jego uczonych wnioskować można czego on uczył, a z utyskiwań, które czynił nad swym losem poznać łatwo, jakie było jego mienie. Uczone narzędzia klechy były: przypowieści Salomona zwykle oprawne w skórę, Kato z polskiem tłumaczeniem w pstrą oprawny okładkę, kałamarz z piórem kruszcowém do pisania nót zwanym rostrum, linije i gęsie pióra [1]). Skąd widać, że klecha uczył wiejskie dzieci religij, nauki moralnéj, śpiewu kościelnego, czytać i pisać. Uczniowie przynosili mu śniadanie a czasem i obiad, żywiąc zgłodniałego mistrza. W szkolsku (tak je sam nazywał) gdzie mieszkał, bywały zwykle dziurawe ściany; w pośrodku stał piec czarny w którym, drzewa niemając, szyszkami palił [2]).

[1]) Wyprawa plebańska. [2]) Z mizeryi szkolnéj.

b) Miejskie szkoły.

Były po miastach i mieścielach (miasteczkach) szkoły parafialne. Do lepszych liczono w Krakowie te: u Bożego-Ciała, na Skałce, u Ś. Ducha, u Ś. Szczepana, u Wszystkich świętych, u Ś. Floryana. Wszakże najlepsze szkółki i najbogaciéj uposażone były przy parafii miejskiéj u Panny Maryi, tudzież na zamku. Miały one swego mistrza czyli rektora, bakalarza i kantora, to jest nauczycieli, młodzieńce i żaki do śpiewania. Opatrywali jéj potrzeby panowie duchowni i świeccy, a jéj nauczyciele miewali najlepsze dochody.

Głównie uczyli w szkółce kantor i klecha, i snadź małoco więcéj w miejskiéj jak we wiejskiéj uczono. Tylko że zwierzchność szkólna inaczéj tam niż tu urządzona była. Bo gdy na wsi sam klech był mistrzem i rektorem szkółki, w mieście, a szczególniéj w Krakowie, mieli nad kantorami wyższy dozór tak nazwani seniorowie. Obowiązkiem ich było, przestrzegać moralności kantora i żaków, tudzież opatrywać potrzeby obudwóch. Bo piérwsi i drudzy bywali często ladaco. Kantor z kolegami swymi nieraz sobie sprawiał hulankę i tańce w gmachu szkolnym. Uczęszczały na nie dzieweczki, przyczyniając się do biesiady wyprawianéj, i przynosząc masło i gomółki. To, tudzież że kantorami bywali ludzie prości, przyczyniało się wiele do upadku szkołek. Dla tego też szkółki parafialne oddawano księżom obcym, do parafii nienależącym. Prostym zupełnie człowiekiem był nauczyciel szkółki u Świętego Floryana, który oprócz tego, że miał postać surową, i twarz zupełnie sowią, żadnych innych nieposiadał zalet. Za młodego wieku bywał on na wojnie: późniéj czepiał się dworów pańskich, gdzie bawiąc wodził charty na smyczy. Narzekając na to kantorowie, że się duchowni do zarządu szkółek parafialnych wdzierają, czynili uwagi: że ci ludzie szarlataństwem się bawiąc wiele far świeckim pododejmowali, lub do szkółek swoich przeciągli młodzież ze szkoł obcych. Że przybierali na siebie postacie różne. Raz się pokazywali jako księża, drugi raz udawali, że są doktorami, alchmistami, kantorami. Że zagarnąwszy jaką szkółkę, już niepilnowali więcéj obowiązku kapłańskiego, lecz czytywali lekcye (uczyli) i akty odprawowali.

Akty te były to processye publiczne, a mianowicie obrzędy pogrzebowe, na których występowały żaki, a senior brał za to zapłatę, co składało dochód szkolny. Pobożni ludzie seniora i żaków opłacali za taką fatygę, uczynek miłosierny tym sposobem czyniąc. U Panny Maryi brał senior kopę groszy od jednéj processyi, a nadto i kantorowi osobno jeszcze płacono. Przy innych szkółkach, ledwie że kilka groszy seniorowi dawano. Trudno było za to, zwłaszcza przy szczupłych funduszach, utrzymać szkółkę. Senior więc radził sobie w ten sposób, że wysyłał żaków na kwestę (po jałmużnę). Przynosili oni do szkoły użebrane krupy i masło. Często samemi tylko krupami żywił senior młodzież szkolną. Chodzili też żacy i śpiewywali pod oknami możnych dla otrzymania jakiego datku [1]); albo ubrawszy się pstro chodzili na puery [2]), obchodząc domy, śpiewając i oracye prawiąc. Dla większéj okazałości wybierali jednego z pomiędzy siebie, który rey wodził w całéj czeredzie: nazywano go królem żaków. Szczególniéj też w dzień Ś. Gawła żacy robili takie obchody [3]).

W szkołach parafialnych po małych miasteczkach, uczono śpiewu, tudzież początkowo nauk wyższych. Wyraźnie powiedziano [4]), że rodzice prosili kantora o to, ażeby ich dzieci pilnie uczyły się śpiewu, że z miejskiemi dziećmi szlacheckie także wtorowały gammę *ut, fa, sol, la*, i że pilnego nauczyciela często zapraszano, dawano mu kredałes (zabawę), i pieniężną zapłatę. Do pomocy miał kantor smyków czyli niższego rzędu śpiewaków [5]), którymi się on posługiwał także [6]). W szkołach parafialnych po dużych miastach uczono: grammatyki niższéj i wyższéj (o figurach grammaty-

cznych), arytmetyki, jeometryi, początków astronomii, logiki (o syllogizmach) tudzież tłumaczono z uczniami pisarzów rzymskich Korneliusza Neposa i innych[7]. W szkołach jezuickich we święta nawet zajęta była młodzież użytecznemi rzeczami: jedni się brali do śpiewania, drudzy do szermowania, inni do wsiadania na koń[8]).

[1]) Kochanowski, Fragm str. 7. [2]) Rey, Żyw. 64. [3]) Paszkowski Dzieje, str. 81. Orzechowski Dyalog, rozmowa 1. Broszury wyżéj wzmiankowane, tudzież opis stołecznego miasta Krakowa str. 3. [4]) W dyalogu męsopust z r. 1622. [5]) Tak szczególniéj nazywano ludzi, którzy po wsiach trudnili się śpiewem. Siarczyński w Czas. 1829. poszyt 4ty str. 48. [6]) Wszystko dosłownie z broszur: Kiermasz wiejski, Rybałt, stary wędrowny, Mizerya szkolna. [7]) Dyalog mięsopustny z r. 1622. Mijakowskiego kazanie *kokosz.* [8]) Pieniążek ethica str. 10.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

O moralności dla kobiet.

Przez K. z T. H.

VI.

O doskonaleniu się.

(Ciąg dalszy.)

Człowiek wraz z uczuciem dobrego, z wyobrażeniem piękności i z szlachetną zdolnością doskonalenia się ma w sobie niestety! pociąg ku złemu i smutną możność upadku; życie nasze ciągłą jest walką dobrego ze złém, dusza od tych dwóch sił ciągle rozrywana. Idziemy zawsze między górą i przepaścią; wolno nam wstępować na piérwszą, ale pośliznąć się w drugą jeszcze nam łatwiéj. Co więcéj, skoro tylko przestaniem iść coraz wyżéj, natychmiast upadamy; bo kto na stromą wchodzi górę, ten stać na miejscu niemoże; kto niepostępuje cofa się. Kto niechce być codzień lepszym, ten codzień gorszym się staje. Uczony skoro się uczyć przestanie, zapomina zwolna tego co umiał; talent największy skoro zaniedbany słabieje i niknie; i jesteśmy wszyscy, jak ów żeglarz płynący pod wiatr i pod wodę, który na chwilę rąk opuścić niemoże, bo mu natychmiast bieg rzeki łódź jego odepchnie i od celu podróży oddali.

Lecz ten ciągły i tak pożądany postęp, to doskonalenie się, w niczyjéj niejest mocy, tylko w naszéj własnéj; skrycie, ciągle, wewnątrz nas, ta powinność spełniać się ma; któżby przeto mógł dopilnować, kto przymusić do jéj zadosyć uczynienia? Bóg sam nawet może w miłosierdziu swojém udzielić nam pomocy ku téj zbawiennéj sprawie, ale sprawiedliwość jego niedozwala mu działać w człowieku w brew jego woli, i trzeba koniecznie ażeby wola nasza spółpracowała z łaską. I zastanowiwszy się, wstyd byłby dla nas, gdybyśmy wszystko dobre darmo mieli żadnéj pracy niedokładając. Gdyby człowiek złym być niemógł gdzież byłyby zasługi i wartość?

Jednę bowiem z ważnych prawd moralnych, znanych powszechnie, ale któréj nigdy dosyć często przypominać niemożna, jest ta: człowiek między zdolnościami któremi obdarzony został, ma sposób doskonalenia się, zbierania cnot i zasług, a tym sposobem jest wolna wola; i tak człowiek każdy może chcieć lub niechcieć rzeczy jakiéj, może iść do wskazanego celu, albo go zaniechać; może słuchać danego mu prawa, albo je odrzucić; może spełniać dobre, albo dać się pokonać złemu; i nigdy nikt ani nic do żadnego postępku go niezmusi, jeżeli on w samym sobie mieć będzie chęć silnego oparcia się. Wszak widziemy ludzi, co w największych katuszach przy własném zdaniu stoją, i raczéj odstępują życia niźli przekonania. — Ta wolna wola człowieka, zrzódło cnot, poświęceń i czynów najpiękniejszych jest darem wspaniałym i straszliwym, zbawiennym i niebezpiecznym oraz; dał ją nam Bóg jako istotom rozumnym i nieśmiertelnym, ażebyśmy obierali dobre dobrowolnie, spełniali je takoż, w niém się doskonalili, a przeto stawali się godnemi nagrody. Dodając nam zaszczytu i wartości, chlubny ten przywiléj wielką na nas odpowiedzialność wkłada. Bo kiedy każdy z ludzi ma wolność być moralnym i doskonalić się, kiedy żadna władza i siła spętać téj wolności w duszy człowieka niemoże, cóż powie każda z nas, czém kiedyś wymawiać się będzie, jeżeli moralności i doskonalenia się w niéj zaniedba, jeśli złemu zwyciężyć siebie dozwoli?

Lecz tyle powiedziawszy o koniecznéj powinności i potrzebie doskonalenia się, należy określić je choć w kilku słowach, i okazać, że niejest ani niepodobném, ani bardzo trudném.

Doskonalenie się, owa treść, ów cel edukacyi samego siebie, jest posuwanie coraz daléj cnot, przymiotów, wiadomości naszych, w tym jedynie widoku, ażeby spełnić jak najlepiéj cząstkę dobrego nam wydzieloną; celem jego bynajmniéj niejest, ażeby ludzi nadzwyczajnych kształcić, owszem zostawia każdego w właściwym jego obrębie. Doskonalić się jest przeto znać dokładnie i spełnić coraz lepiéj przeznaczenie swoje czyli powinności. A zatém ta praca niejest tyle trudną, gdyż jest pod ręką

każdego; niemamy potrzeby szukać daleko środków do jéj wykonania, są w naszéj władzy, ale chętnie i bez ustanku używać ich należy. — Jednym z tych środków jest moc nad sobą.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ROZMAITOŚCI.

Od 1. Stycznia r. b. wychodzi we Lwowie, dziennik mód paryzkich, dwa razy na miesiąc, po półarkusza druku, do którego dołączona jest rycina mód i tablica krojów sukien w wielkości naturalnéj, lub na dziesiątą część zmniejszonych. Kosztuje na rok 40 zł. pol. bez przesyłki. Redaktorem tego dziennika jest Tomasz Kulczyki krawiec. — Żałować przychodzi, iż niemasz u nas rodaków oddających się przemysłowi krawieckiemu, a przynajmniéj nieznajdziemy w całém W. Księstwie poznańskiém ani jednego krawca Polaka, któryby przemysł ten z pewnym zasobem i z prawdziwą znajomością sztuki prowadził. Przypominamy sobie tylko jednego warszawianina, przed niedawnym czasem osiadłego w Poznaniu, który znał umiejętnie sztukę krawiecką, ale na nieszczęście dla siebie, trafił na bardzo bujną niwę i osierocił przez śmierć swoją zawcześnie tę gałęź przemysłu. Otwarte przeto u nas jest pole w tym zawodzie, korzystne dla przedsiębiorcy, jeżeli mu się odda z całą znajomością sztuki i pewnym kapitałem. Tymczasem polecamy dziennik ten względom publiczności i zwracamy nań już dla tego uwagę, iż po pismach czasowych technologicznych u nas rólnictwu poświęconych, piérwszym jest który wyłącznie krawieckim przemysłem się zajmuje.

Florenckie kapelusze słomiane. W okolicy Florencyi, Pizy, Sieny i w dolinie górnego Arno, najlepsze robią sploty na kapelusze słomiane. Całe familije okoliczne żyją tylko z tego przemysłu i zarabiają znaczne pieniądze, bo materyał mało kosztuje, a wyroby z niego dobrze płacą. Dla tego też mieszkańcy, mianowicie po nad rzeką Arno wolą trudnić się pleceniem niż uprawą ról swoich, do których najmują górali. Słoma użyta na sploty, jest pszenna, z drobnego nader ziarna po górzystych i nieurodzajnych gruntach wyrastająca. Słomka taka jest cienka, przytém giętka i mocna, wysycha łatwo, będąc w środku od góry zaraz wydrążona. Skoro ją oczyszczono z ziemi czepiającéj się około korzonków, wiąże się w małe snopki i ukręca u ostatniego kolanka wraz z kłósiem. Długość tak ukręconéj słomki wynosi od 4 do 6 cali. Poczém bieli się na rosie i słońcu. Deszcz bardzo szkodzi białości; stąd gdy wśród bielenia padać zaczyna, wszystko wybiega, zbiera i chowa słomę pod dachy. Ze spodniemi częściami słomy postępuje się na ten sam sposób i używa jéj na sploty pośledniejszéj wartości. Wyższe zaś części rozdzielają się na gatunki, stósownie do delikatności i białości słomy. Zwykle robią trzy gatunki: słoma, która przed rozgatunkowaniem kosztowała 3 ósmaki, kosztuje rozgatunkowana przeszło talara. Plotą słomę z pasma, biorąc na pasmo 7 do 9 słomek i rozpoczynając sploty od spodu. Na $1\frac{1}{2}$ cala od końca kłósia niewplatają słomek daléj, wszystkie zaś końce z kłosami zwieszają na jednę stronę wstęgi. Pasmo wykończone zwija się na wałek drewniany, wystające zeń końce z kłosami przycinają się, potém wałkuje mocno dla nabrania większéj nabitości i połysku. Pasmo tak przysposobione zszywają surowym jedwabiem, a kapelusz wydaje się jak z jednéj sztuki zrobiony. Wszystkie kapelusze robią na tę samą miarę, różnicę między niemi stanowi jedynie cienkość, zależąca od ilości zwojów w jednéм pasmie. Są kapelusze o 20 i o 80 zwojach, i płacą za nie stósunkowo od 20 do 1000 paolów czyli od 2 do 100 piastrów (1 poal = 1 złp.). Kapelusze większéj jeszcze delikatności w słomkach cale ceny niemają. Kapelusz wartości 100 piastrów przynosi kupcowi 40 procentów, bo słoma i jedwab kosztują 20, a robota 40 piastrów. Przy takiéj robocie zarabia sobie jedna osoba 3 do 5 paolów na dzień. Domy handlowe w Liwornie i Florencyi wykupują kapelusze u wieśniaczek tych okolic. Jeden z tych domów wybiera sam za 400,000 zł. reń. We Francyi robiono doświadczenia, aby zyskać podobną słomę, ale nieudały się. W końcu namieniamy jeszcze, iż kapelusze, zanim się przedają, czyszczą wprzody zapomocą siarki.

Nowe ważne odkrycie. Pewien chemik w Hamburgu odkrył nowy sposób robienia mydła. Tak wyrobione mydło jest daleko tańsze, i nadzwyczaj pięknie bieli i czyści bieliznę. Z tém połącza on jeszcze drugie odkrycie. Umie z mydlin wydobywać rozpuszczone mydło, téj saméj wagi, jaką miało przed użyciem do prania, i to bez żadnych kosztów. Dla tego życzą, ażeby tę tajemnicę nabyto od wynalazcy, po jéj sprawdzeniu.

W przeszłym miesiącu zebrała się komissya cechu piekarskiego w Paryżu, aby przekonać się o korzystném zarabianiu chleba, jakie pewien piekarz ogłosił. W przytomności téj komissyi, wynalazca wyrobił z téj saméj ilości mąki rzannéj dawnym

sposobem zaczynionéj 102, a według swego wynalazku 127 bochenków chleba, téj saméj wagi, miąższości, a co do smaku daleko lepszych. Cała rzecz zawisła na zakiszaniu ciasta. Rząd francuzki postanowił nabyć téj tajemnicy od wynalazcy i ogłosić na pożytek publiczny.

Jeniusz muzykalny. Na koncercie danym w Marsylii, otrzymał najwięcéj poklasków Giovanni Włoch. Śpiewał aryą z Lunatyczki w sposób tak ujmujący, iż szkole Rubiniego głos jego barytonowy przyniósłby zaszczyt. Ale to była część jeno zasługi, Giovanni wystąpił po drugi raz i odśpiewał kawatinę z Cyrulika. Którą kawatinę! pytano. Wystawić sobie można zadziwienie, skoro usłyszano śpiewaka wyśpiewującego głosem dyszkantowym aryą Rossyniego: »Una voce poca feo.« A kiedy po trzeci raz zaśpiewał p. Giovanni także głosem dyszkantowym, już wówczas końca oklaskom niebyło. A co śpiewał? »Casta disa!« Mistrz wąsiaty, Norma w pantalonach z podpinkami, kapłanka w butach oddała co do nóty, ze wszystkiemi ozdobami, drzeniem, kaprysami, łamaniami, zagięciami, przepaściami, wszystkie melodyjne perły pani Malibrane, Grisi, Schroeder-Devrient, Toccani, jedném słowem wszystkich bohaterek, które złote berło śpiewu piastowały. Nadzwyczajny ten jeniusz śpiewny zyskał chuczliwe do grzmotu podobne brawo.

Najmniejsze nogi Damskie. Wszystkim wiadomo, iż paryzkie Damy mają bardzo zgrabne nogi, a jednakowoż nogi Hiszpanek o tyle są mniejsze i zgrabniejsze, iż w Andaluzyi powszechnie mówią o kobiecie, która ma duże nogi: »Ma nogi jak Paryżanka.«

MODY. — Paryż, dnia 13. Maja 1840. — Jesteśmy teraz śród pełnéj wiosny. Longchamps ukazuje się w świetności. Czas już zarzucić ciężkie suknie, owe aksamity, bramowania z futer, burnusy, a jąć się lekkich, miłych tkanin téj pory, które szczególniéj widać u Delisla na składzie.

Wspomnieć naprzód musimy o poults de soie, z których wyrabiają chińskie przepaski, ozdobione wzorami hieroglificznemi, tak pięknie i ujmująco wyglądającemi, na liońskich tkaninach. Ostatnie są białe lub perłowego koloru, z maleńkim rzucikiem w bukieciki gwoździków lub róży przy róży.

Śliczne są też fulardy, w niebieskie, zielone lub brązowe kraty, na tle białém, na których znajdują się różyczki w kształt gwiazdki lub niezapominajki. Tkaniny te są jedwabiem przerabiane w rozmaitych kolorach i to w sposób wydatny. Przyznać trzeba, że widok takiéj tkaniny miłe czyni wrażenie i pięknie stroi. Powiadają, że pewien dom paryzki udał się z takiemi fulardami na jarmark lipski, a następnie ujrzycie je téż w Poznaniu.

Niemniéj piękną jest tkanina na suknie zwana levantine rubanaée. Wystawić sobie trzeba tkaninę na pozór kratkowaną, która nabita i lśniąca przerabiana jest liniami wijącemi się wężykowato. Wydaje się jakby wstążeczkami była w części tkana, i stąd powstało jéj nazwisko. Koloru jest liliowego, różowego i morsko-zielonego.

Obok tysiącznych tkanin szkockich na suknie, które tym razem z chińskiemi w kolorach białych i niebieskich, z prążkami na nich brunatnemi się zgadzają, wspomnieć należy i o letnich pompadours. Są to jedwabie w najdelikatniejszych odcieniach, przerabiane w poprzek prążkami szerokiemi białemi, niebieskiemi lub ponsowemi, na których znajdują się małe kwiateczki w rozmaitych kolorach i rodzajach. Suknie z tych tkanin robią cokolwiek krótkie i zdobią wstążkami.

Fręzle ciągle się jeszcze utrzymują, używają ich do szarf jedwabnych, do szalów kaszemirowych i bareżowych; jestto dawna, ale ulubiona moda.

Milsze jednak są koronki, zdobiące szarfy szerokie, jednostajnego koloru, które teraz urocze kibicie Paryżanek jeszcze piękniejszemi czynią.

Kiedy już mówimy o koronkach, dziwić się przychodzi, ile teraz za niemi się ubiegają. Te przewietrzałe szczątki dawnéj mody śledzą wszędzie i przepłacają. Przyznać się musimy, iż trudno wynaleźć przyczynę, dla czego te cytrynowo-zżółkłe tkanki teraz się podobają, lubo podziwiać można w nich wielką sztukę i nadzwyczajną pracowitość ludzką.

Objaśnienie ryciny.

1. Krepowy kapelusz z podwójną zasłoną, a z każdéj strony gałązka kwiatów. Suknia z tkaniny szkockiéj prążkowatéj. Szarfa kaszemirowa, osadzona grubą fręzlą.
2. Pierwsza figura widziana z przodu.
3. Kapelusz krepowy pod obwodem ozdobiony kwiatami. Suknia organtynowa, osadzona ukosami i girlandą haftowaną. Koszulkowy stanik. Rękawy u góry i u dołu osadzone podwójnym rzędem bufek. Kołnierzyk i mankietki z gockich koronek.
4. Ubiór mężczyzny. Surdut z wązkim kołnierzem, obcisłemi rękawami, guziki na dwa rzędy. Pantalony obcisłe. Kamizelka i krawat jednokolorowy.

Redaktor: *N. Kamieński.*

Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

20.